

Misja Eneasza

Wynik niedawnych wyborów europejskich dość powszechnie został zinterpretowany jako sygnał do jakiegoś zasadniczego politycznego odwrótu. Najbardziej pewnie we Francji, gdzie triumfowała tamtejsza endecja, od blisko pół wieku otoczona kordonem sanitarnym, zaś postliberalny macronizm został na dobrą sprawę rozgromiony.

Na francuskich endeków tym razem głosował nawet ktoś taki, jak Chantal Delsol, która mówi teraz publicznie (w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej”), że uczyniła tak tylko dlatego, aby przyczynić się do „wywrócenia wreszcie tego stolika”, gdyż nie jest w stanie dalej słuchać tej całej euro-nowomowy w wydaniu szefowej Komisji Europejskiej i jej akolitów. Przywołuję ten akurat przypadek, bo intelektualna figura Delsol to przecież jakiś czas temu wzorowy przykład krytycznej wobec nowoczesności liberalnej konserwatystki, zakochanej jednak w politycznych ideach francuskich Ojców Założycieli Unii Europejskiej – Schumana czy Monneta. Ale dziś widać jasno, że owo pragnienie „wywrócenia stolika” stało się silniejsze od jeszcze tak niedawno powszechnego w Europie uniwersalistycznego marzenia. Wiem co mówię, bo w końcu i w mojej duszy przez lata panowało niepodzielnie owo piękne uniwersalistyczne marzenie, zaś ostatnimi czasy w ślad za nim postępuje natarczywie – co tu dużo mówić – bolesne zwątpienie.

Tak się akurat przypadkiem złożyło, że kilka dni po europejskich wyborach miałem okazję dyskutować w Krakowie z autorami monumentalnego trzeciego tomu „Historii filozofii politycznej”, wydanej przez Kronos, a inspirowanej sławnym dziełem Leo Straussa. A jednym z kluczowych bohaterów tego tomu jest Wergiliusz, któremu poświęcony jest tłumaczony po raz pierwszy na polski, a napisany blisko wiek temu esej Theodora Haeckera – niemieckiego głęboko chrześcijańskiego pisarza, związanego z monachijską antyhitlerowską grupą Białej Róży. Haecker jest w jakimś sensie kontynuatorem tradycyjnej w umysłowych dziejach Europy apologetyki dzieła Wergiliusza, sięgającej Dantego, albo i nawet św. Augustyna. Sto lat temu w Niemczech, w klimacie dochodzącego właśnie do władzy Hitlera, zrównoważony ideał uniwersalistycznej „Romanitas”, której podwaliny miał wznieść uchodzący spod Troi Eneasz, musiał wydać się chrześcijaninowi Haeckerowi pięknym politycznym marzeniem, rzecz jasna – coraz mniej realnym w Europie miotanej właśnie paroksyzmami nacjonalizmów. Widać to po zapale, z jakim Haecker dowodził, iż to wielki przesąd pozytywistycznej nauki, która rozumie człowieka tylko przez pryzmat kolektywnych „typów” – plemiennych, socjalnych czy psychologicznych, a przecież żaden z owych typów „nie wykracza poza to, co uniwersalnie ludzkie... w jednej jedynej pierwotnej symfonii Człowieka”.

To jednak co mnie uderzyło, to fakt, iż ta fascynacja wergiliańskim uniwersalizmem udzieliła się także współczesnym polskim autorom „Historii filozofii politycznej”. Jej główny redaktor – prof. Piotr Nowak wydaje się szczególnie przejęty swoistą polską wykładnią dziejów Eneusza, jako figury męża stanu, który z popiołów Troi wskrzesza „coś zupełnie nowego, nieoczekiwanego, o zgoła nieznanego do tamtych czasów skali”. Tak właśnie, jak u nas w czasach niewoli nikt nie

przeczuwał, ani czym będzie, ani jaka będzie przyszła wolna Polska. Faktem jest, że w czasach porozbiorowych tak właśnie czytywano w Polsce „Eneidę”, próbując łapać się nadziei, że nawet z kompletnych zgliszcz może się, wolą bogów (czy w polskim przypadku – Chrystusa) odrodzić na nowo polityczna wielkość, która, tak jak Rzym, ma być już nieśmiertelna. W latach I wojny światowej to znany polonista prof. Ignacy Chrzanowski zrekonstruował w swojej broszurce dzieje owego „polskiego wątku” dziejów Eneasza, oczywiście dla pokrzepienia serc. Ale przecież każdy kto na serio bierze do ręki tekst „Eneidy” rychło musi się zorientować, że jest to dzieło o czymś zupełnie innym, a ze „sprawą polską” powiązane zostało na siłę, jak w znanym powiedzonku o słońcu i sprawie polskiej.

Misja Eneasza nie ma przecież na celu odbudowy czyjejkolwiek narodowej wolności czy niepodległości. Przeciwnie – tkwi w niej obietnica bogów zbudowania niewyobrażalnego w myśli greckiej (nawet w czasach hellenistycznych) globalnego imperium, które zlikwiduje wszelkie „niepodległości”, a co najważniejsze – jego powstanie będzie w istocie końcem historii i początkiem politycznej wieczności. Tę obietnicę przyszły Rzym otrzymuje od samego Jowisza, któremu Wergiliusz wkłada w usta jedną z tych, nie tak znów licznych literackich fraz, dźwięczących potem przez wieki, aż po dziś dzień, w historii, kulturze i polityce europejskiej:

*„Hic ego nec metas rerum nec tempora pono:
Imperium sine fine dedi”* (I, 278-279).

Czyli (jak mi to prościej od dawnych tłumaczy przełożyła AI): „Tutaj nie wyznaczam ani rzeczom celów, ani czasowi: dałem bowiem władztwo bez końca”. Jowiszowe fatum, które niesie Eneasza i któremu jest bezwzględnie posłuszny, jest obietnicą wypełnienia się świętego, bożego uniwersalizmu – polityczna Romanitas ma bowiem być rzeczą nie tylko powszechną i wieczną, ale przede wszystkim sakralną. To właśnie od czasu tej mitycznej obietnicy, zapisanej w tekście „Eneidy”, wszystkie późniejsze wznoszone w Europie imperia pielęgnowały w sobie owo wergilijskie i w istocie pseudo-religijne uroszczenie do ustanowienia „końca historii”. Jak nie bez racji zauważał Haecker, w każdym z nich w jakiś sposób tkwił w środku Rzym, od Świętego Cesarstwa Narodu Niemieckiego, aż po Unię Europejską. No i co oczywiste, bez tego dziedzictwa Wergiliusza, ponoć „Ojca Zachodu”, nigdy też nie mogłaby się dokonać cała ta wschodnia maskarada z moskiewskim wiecznym „Trzecim Rzymem”, której współczesnym spadkiem jest doktryna „русского мира”, a więc i wojna tocząca się właśnie na rubieżach Europy. Sakralizacja dzieła budowy ostatecznego imperium, nie gdzie indziej, jak tylko w obietnicy danej Eneasza, ma właśnie swą – zaiste przeklętą dla dziejów Europy – genezę.

Pseudo-religijne imperium miało w sobie od początku ziarno zepsucia, dlatego musiało stać się w końcu „regnum diaboli”. Przekonanie Wergiliusza, iż swoista „polityczna poprawność” wymuszana przez rządy Augusta, może być podwaliną wieczystego uniwersalizmu, była (i jest do dziś dnia) jednym z najgłupszych przesądów europejskiej polityki. Najpóźniej od uchwycenia władzy przez chłopca i żołdaka Maksymina Traka rozpoczął się straszliwy czas wewnętrznego rozkładu imperium, powstrzymanego dopiero przez Dioklecjana – konstruktora pierwocin europejskiego totalitaryzmu, który wkrótce potem miał się stać totalitaryzmem chrześcijańskim na modłę Teodozjusza Wielkiego.

Dlatego właśnie Rzymu i całego niesionego przezeń dziedzictwa nie znosili ci najroztropniejsi XX-wieczni intelektualiści, choćby Nicola Chiaromonte, czy Simone Weil. Chiaromonte był pod duchowym urokiem kruchości i idealizmu greckiej polis, która ani nie zrodziła się z boskiego rozkazu, ani tym bardziej – nie rościła sobie pretensji do wieczności. Z kolei Weil uważała owo imperium za przekleństwo dziejów Europy, gdyż było ono dla niej modelem państwa doskonale ateistycznego i domagającego się religijnego kultu dla samego siebie.

Być może więc misja Eneasza, którego okcydentalna Wenera, na przekór orientalnej Junonie, popychała w kierunku Italii, a najwyższy Jowisz dał obietnicę dopełnienia tam końca historii, mogła być rzeczą ważną dla pokolenia lat 90 XX wieku. Uniwersalistyczne marzenie miało wtedy moc podobną do tej, jaką musiało mieć w czasach Wergiliusza i Augusta. Ale dziś już ziarno zepsucia przynosi aż nadto rozpoznawalne owoce. Co zsakralizowana obietnica „Trzeciego Rzymu” czyni dziś na wschodzie Europy, nie trzeba nikomu tłumaczyć. A po zachodniej stronie nawet ktoś taki, jak Chantal Delsol nie chce już niczego innego, jak tylko wywrócenia uniwersalistycznego stolika. Sam (przyznam się) żyję w sporej duchowej rozterce, bo moje uniwersalistyczne marzenia o Europie jeszcze nie wygasły. Ale cóż poradzić, skoro rzeczywistość podpowiada, iż na przekór autorom trzeciego tomu „Historii filozofii politycznej”, Wergiliusz nie wydaje się właściwą polityczną lekturą na dzisiejsze czasy. Lepiej chyba czytać Krasińskiego, bo to figura Irydiona uosabia nasz współczesny gniew na Rzym, a i każe pomyśleć o moralnym i politycznym ryzyku, jakie dla chrześcijanina może wynikać z owego gniewu.

Jan Rokita

